Tom XVII. Nr. 12.

21. października 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O pobożnym rycerzu Dembrodzie.

Pośród równin sandomierskich, w tej części kraju polskiego co teraz jest pod Moskalem, wznosi się bardzo wysoko góra, nazwana Łysą. Na tej górze stoi wielce starożytny kościół Ś. Krzyża, z klasztorem księży Benedyktynów, najpierwszym w całej Polsce.

Klasztor ten założył król polski Bolesław Chrobry, a to z takiej przyczyny. Pewnego razu przyjechał do niego w odwiedziny jego krewny, królewicz węgierski Emeryk, co później został świętym. Zabawiali się obadwa łowami na jelenie, i w pogonce zapędzili się aż na wierzchołek Łysej góry. Tu królewicz Emeryk ujrzał stosy kamieni, zwaliska bożnicy pogańskiej i zdało mu się, że to miejsce byłoby bardzo dogodne na siedlisko dla ludzi, co się chcą od świata oderwać i Bogu swój żywot poświęcić. Dalejże więc w prośby do króla Bolesława, aby tu założył klasztor dla księży Benedyktynów. Bolesław przyrzekł, że to uczyni, a królewicz Emeryk ofiaro-

wał do nowego kościoła drogocenną relikwię, cząstkę krzyża świętego, na którym Zbawiciel poniósł śmierć męczeńską. Relikwia ta, od której kościół otrzymał nazwę święto-krzyskiego była oprawna w złoto i drogie kamienie. Późniejsi królowie polscy i panowie wzbogacili hojnemi dary kościół i klasztor benedyktyński, a tak był on nie tylko najpierwszym, ale wnet stał się najmożniejszym w całej Polsce.

Ale różnemi czasy kilka razy złupili go i spalili nieprzyjaciele. W dwieście lat po założeniu, za innego Bolesława, zwanego Wstydliwym, męża ś. Kunegundy, straszną nawałą wpadli do Polski Tatarzy, spalili Lublin, a przeszedłszy Wisłę po lodzie, bo to było w zimie, pobili waleczne rycerstwo Bolesława pod Opolem, zdobyli Sandomierz, wszystkę ludność wycięli w pień i spustoszyli calą okolicę. Potem znowu po raz wtóry pobili zastępy Bolesławowe pod Wielkim Turskiem, a chociaż zbyt drogo okupiwszy to zwycięztwo, cofnąć się musieli; znowu wkrótce dwoma szlakami całą Polskę zalali. Rycerstwo polskie stawiło im jeszcze opór pod Chmielnikiem, ale i tu poniosło klęskę; Tatarzy, jak niczem niewstrzymana chmura pognali dalej, spalili Kraków i nie oparli się aż o Lignicę na Szlązku, choć zaś i tu odnieśli zwycięztwo, i trupami Chrześcijan zasłali pola, nie śmieli iść dalej, w czterech bowiem wspomnianych walkach, choć zawsze zwyciężali, zawsze niezmierne ponosili straty, i liczba ich przeto zmniejszyła się znacznie. Zawrócili więc ku Węgrom, zkąd dopiero po całorocznym pobycie cofnęli się do swoich siedzib, w dzisiejszej Moskwie.

Napad ten Tatarów był dla Polski straszną klęską, z której się przez wiele, wiele lat podźwignąć nie mogła. Złupili oni kraj cały, spustoszyli i spalili mnóstwo miast, zamków i wsi, tysiące ludu wywiedli w niewolę; kościoły i klasztory także bardzo wiele od nich ucierpiały. Między innemi zrabowali także i klasztor księży Benedyktynów na Łysej górze, w sandomirskiem, i prócz wielu kosztowności zabrali ztamtąd także ową relikwię, przez św. Emeryka ofiarowaną.

Tak dobrze obłowiwszy się w Polsce i krajach sąsiednich, żyli sobie w domu wesoło, ale radość nie długo trwała, nie długo cieszyli się zdobyczami, ani im na dobre wyszły te skarby, spokojnym mieszkańcom wydarte okrutnie. Oto niebawem wybuchła u nich okropna zaraza. Lud marł tysiącami i nikt nie był pewny godziny życia; wkrótce wymarła większa połowa z tych co byli w Polsce, a jeszcze końca nie było, śmierć coraz więcej ofiar zabierała codziennie. Strach padł na cały kraj. Przerażony Chan, czyli król tatarski, wzywa kapłanów swojej wiary, wzywa wróżbitów, pyta co mogło ściągnąć taką klęskę na jego poddanych, o radę pyta Ale wróżbici nie mogą odgadnąć co tak rozgniewało niebiosa, nie umieją dać rady, jak złemu zaradzić. Kapłani nakazują modły, posty, ale na próżno; zaraza nie ustaje, owszem zda się być coraz groźniejszą, zda się coraz bardziej rozszerzać po wszystkich krajach tatarskich. Rozpacz ogarnęła pogańskie plemię, a chan który samowolnie władał tylu milionami ludzi, przed którego potęgą niedawno całe chrześcijaństwo drżało, widząc że tu kończy jego władza, że nie ma mocy rozkazywać powietrzu, zżymał się i gniewał.

Był wówczas w niewoli tatarskiej rycerz polski imieniem Dembrod, jeden z tych starodawnych naszych rycerzy, u których pod żelaznemi pancerzami biły serca pełne wiary, bogobojności, pobożności. Temu raz we śnie objawił się anioł pański i rozkazał mu iść do chana i powiedzieć, że zarazę zesłał Bóg za znieważenie Jego kościołów w Polsce, i za zabranie relikwi z świętokrzyskiego kościoła. Niech odeszlą relikwie, rzekł anioł, a Bóg uśmierzy swój gniew i odwróci rękę karzącą. Zbudziwszy się ze snu Dembrod, rozmyślał w pokorze ducha o tem co mu Bóg objawił, ale do chana iść nie śmiał. Wspomniawszy jednak na Mojżesza i Arona, nabrał serca, poszedł i oznajmił chanowi co mu anioł rozkazał. Chan nawet słuchać nie chciał niewolnika, odpędzono go i zagrożono śmiercią, jeżeli się poważy jeszcze raz stanąć przed nim. Tymczasem zaraza srożyła się coraz bardziej, a płacz i narzekania rozlegały się w całym kraju. Chan powtórnie wzywa

kapłanów i wróżbitów, naradza się z nimi i opowiada co mu obwieścił niewolnik chrześcijański. Wróżbici mówią, że relikwię co prędzej do Polski odesłać potrzeba. Wybrano więc dwóch Tatarów i kazano im gotować się do drogi. Ale o dziwo! gdy przyszli brać relikwię, ów mały kawałeczek drzewa, w blaszkę złotą oprawny, stał się tak ciężkim, że go unieść nie zdołali. Przywołano Dembroda, a on z największą łatwością podniósł święty szczątek. Domyślono się z tego, że Bóg chce aby on odniósł relikwię; udarowano go więc wolnością, i jemu iść kazano, a owych dwóch Tatarów przydano mu jako orszak, aby był w drodze bezpieczny. Dembrod wybrał się więc w drogę, i wziąwszy relikwię ruszył ku Polsce.

I szedł stepami ku zachodowi, a idąc modlił się i śpiewał hymny pobożne a w nocy biło światło z relikwi i wskazywało drogę. Gdy tak szedł i szedł coraz dalej a dalej, ujrzał nareszcie przed sobą kościółek z krzyżem na wieży, i domyślił się, że jest już w kraju polskim, odprawił więc Tatarów, a sam pospieszył co tchu do kościoła, opowiedział zkąd i z czem idzie. Po nabożeństwie ruszył dalej, do drugiego kościoła, a ztąd znowu dalej, aż po wielu dniach podróży przybył na koniec na Łysą górę do świętokrzyskiego klasztoru i ku wielkiej radości zakonników i ludzi pobożnych, którzy w procesji wyszli naprzeciw niemu, wniósł relikwię przy odgłosie dzwonów do kościoła, i złożył ją na dawnem miejscu.

A skoro król usłyszał o przybyciu rycerza Dembroda z tak wesołem poselstwem, i o dziwnych jego w niewoli i podróży przygodach, przyzwał go na swój dwór, kazał sobie wszystko opowiadać i nagrodził go hojnie.

Kwiat życia.

Zosia sierota, bez ojca, bez matki,
Codzień wieczorem i rano,
Wybiega z cudzej — ich niegdyś chatki,
Łzy swe, modlitwy i świeże kwiatki
Nieść na mogiłę kochaną.

„Ojcze mój! matko miła!
„Biedna ja bez was! biedna!
„Sierota, sama jedna!
„Lepiej gdybym nie żyła,
„Bo tam bym z wami była!
„A tu każdemu cudza, w cudzym domu,
„Każdy mię krzywdzi, nikt nie pocieszy,
„Płacz mój ich śmieszy!
„Ni się pożalić komu,
„Ni się mnie kto pożali! —
„Ach! nie tak było, kiedyście wy żyli!
„Wszyscy mnie kochali, chwalili,
„Bo o was dbali. —
„A teraz!... biedna ja, biedna!
„Sierota, sama jedna! —
„O! gdybym was mogła, rodzice!
„Choć raz obaczyć, choć przez sen w raju!“ —

Tak się modli — Bóg dobry wysłuchał dziewicę,
Bo gdy raz wedle zwyczaju,
Znalazłszy swobodną chwilę,
Wybiegła wieczorem z chatki,
Złożyć na miłej mogile
Łzy swe, modlitwy i kwiatki:
Usnęła słodko a sen życzliwy
Takie jej malował dziwy.

Weszła na łąkę piękną, wspaniałą,
Całą zasłoną kwiatami,
Jakich tu ludzkie oko nie widziało;
A wśród nich drzewa, pod liści wieńcami,
A na tych drzewach, i kwiat i zawięzie,
I razem owoc dojrzały;
A ich łagodnym wiatrem pochwiane gałęzie,
Słodką harmonią brzmiały.
Patrzy zdumiona — aż nagle w drzew cieniu
Ojca i matkę postrzegła. —
Krzyknęła, i ku nim pobiegła.

Oni ją tulą w tkliwem uściśnieniu,
I błogosławiąc, mówią: „Lube dziecię!
„Patrz! czyż to płakać nad nami potrzeba?
„Gdzież co równego jest na waszym świecie?
„A i to jeszcze ledwie wstęp do Nieba! —

„Czekać tu będziem, aż już razem z tobą
„Pójdziemy stanąć przed Majestat Boży.“ —

Tu Zosia nagle ujrzała przed sobą,
Śród krzewu cierni, tak cudny kwiat róży,
Że jakby w sobie uczuła ból kwiatka,
„Ach! ja go wyrwę z tych cierni,“ wyrzekła.
— „Spróbuj!“ z uśmiechem odpowie jej matka;
Ona chce zerwać — róża do góry uciekła.
Więc pragnie cudu przyczyny dociec.
„Córko moja!“ rzekł jej ojciec:
„To jest kwiat życia twego; — choć śród cierni,
„Patrz! jak się wdzięcznie uśmiecha!
„Żaden go proch nie kala, żaden cień nie czerni,
„W nim nasza — a w tem twoja niech będzie pociecha!“

— A gdzież są — Zosia zagadła,
„Kwiaty waszego życia?“ — „Widzisz?“ — „Widzę“. —
— „Obok twojego, na jednej łodydze,
Korona cierni już w krąg ich opadła;
Lecz by dojść pełni i dojrzeć dla Nieba!
Cnót twych im jeszcze i twych modlitw trzeba.“ —

— „A toż, mój ojcze czyje
Te kwiaty białe, w szeregu,
Od których taki blask bije,
Jak u nas słońca od śniegu?“
— „To ogród wybranych ludzi,
„Niewinnością ich duszy kwiat się życia bieli,
„Namiętność nie rumieni, występek nie brudzi,
„A straż nad niemi Pańscy trzymają Anieli.“ —
— „A któż stróżem mego kwiatka?“ —
— „Ja i twa matka.“ —
Rzekł — wszystko znikło; — lecz w duszy dziewiczej
Został na za zawsze ów sen tajemniczy,
I choć sierota, w cieniu cudzej strzechy,
Choć kwiat jej życia kwitł w cierniach na świecie:
Ilekroć rajskie przypomniała kwiecie,
Czuła i w sercu blask rajskiej pociechy.

Antoni E. O.

Janek Góralczyk,

jak przemyślną pracą przyszedł do majątku.

Między górami, między lasami mieszka lud biedniejszy jak u nas, bo tam ziemia nie taka urodzajna jak w innych okolicach naszej polskiej ziemi, a żyto i pszenica rzadko się udaje, tylko prawie sam owies sieją i tem żyją. Są tam także i majętni gospodarze, co mają podostatkiem chudoby i sporo owiec, które przez całe lato pasą się po górach i nocują w szałasach, gdzie je juhasy (tak się nazywają ci co pasą owce), doją i robią sery z mleka. Ale więcej jest biednych, którym brak i owsianego chleba.

Zamożne gospodarstwo dostało się po ojcu dwóm braciom Grzegorzowi i Jankowi. Starszy Grzegorz gospodarował w domu i koło roli, młodszy Janek juhasował po górach, i tak się był przyzwyczaił do gór i lasów, że wcale mu się nie tęskniło za chatą; dbał o owce odganiając je od wilków, dla rozrywki śpiewał i grywał czasami na fujarce, i wytrębywał na dużej drewnianej trąbie, którą sobie sam z drzewa zrobił. Czasami wystrugiwał z drzewa różne drobiazgi, wózki, skrzypki, terkotki i inne dziecinne zabawki, a był to sobie wesoły chłopak i sam się bawił i swoich towarzyszy rozweselał.

Grzegorz zaś był zawsze ponury i smutny; dumny ze swego bogactwa, sądził że mu nigdy bieda nie dokuczy, kiedy ma wszystkiego podostatkiem. Nie bardzo troszczył się o gospodarstwo myśląc sobie, że kiedy jest taki bogaty, to mu zawsze będzie wszystko samo przybywało bez trudów i pracy; nie chciało się mu już pracować w roli, trzymał więc sobie kilku parobków a sam po większej części w karczmie przesiadywał, za co żyd bardzo go lubił, bo nie mało pieniędzy Grzegorzowych przechodziło do szkatuły brodatego Abramka za wódkę. Byli też i źli ludzie, którzy namawiali Grzegorza do takiego życia bo Grzegorz i dla nich nie skąpił i ugaszczał ich hojnie.

Gdy już brakło Grzegorzowi pieniędzy, to sprzedawał po kilka owiec, byle tylko prowadzić rozpustne życie, bo to zwykle, jak się człek do złego przyzwyczai, a nie ocknie się zawczasu, to już później trudno się opamiętać. Siedział więc w karczmie, gospodarstwa nie pilnował, owce za owcami sprzedawał, tak że we dwa lata po śmierci ojca, Janek już nie mógł juhasować, bo owiec zabrakło.

Załamał ręce Janek i zapłakał gorzko; nie śmiał nic bratu wyrzucać, bo był dużo młodszy od niego i w domu prawie nigdy go nie widział, a do karczmy byłby nie poszedł, i wiedział że toby nic nie pomogło; nie mogąc dłużej patrzeć na taką poniewierkę ojcowskiego mienia, postanowił zostawić brata i iść w świat, choć żal mu było bardzo porzucać rodzinną wioskę, żal mu było tych lasów i gór, w których echo jego śpiewów się rozlegało, nareszcie żal mu było i towarzyszy; ale cóż miał począć? poszedł do kościoła, pomodlił się Bogu i znikł bez wieści.

Ubiegł ze dwadzieścia mil, bo w blizkości nie chciał nigdzie przyjąć obowiązku, by ani brat o nim, ani on o rozpustnym Grzegorzu nie miał wieści, bo przeczuwał że tam nic dobrego dziać się nie będzie.

Przechodząc przez wieś Dąbrowę, spotkał dziedzica tej wsi. Zapytany zkąd i dokąd idzie, odpowiedział że szuka służby.

— A może byś u mnie przyjął służbę? zagadnął go pan.

— Bardzo chętnie, Wielmożny panie, odpowiedział Janek.

Zgoda odbyła się na poczekaniu.

Janek szczęśliwy że mu się już służba trafiła, brał się z chęcią do każdej pracy, i co mu tylko kazano zrobić, zrobił jak najlepiej i najsumienniej, za co go pan bardzo polubił i wynagrodził sowicie za jego szczerą pracę.

Jednego razu, przed świętami Bożego narodzenia, posłali państwo Janka z kartką do sklepu, gdzie miał pokupić rozmaite rzeczy, między innemi i zabawki dziecinne w kilku pudeł-

kach, z których dzieci były bardzo uradowane A były to ładne zabawki tak, że i Jankowi się podobały i z wielkiem zajęciem się przypatrywał. Pan widząc Janka tak zajętego temi zabawkami, zapytał się go:

— Możebyś i ty Janku chciał się bawić takiemi zabawkami, że się tak przypatrujesz z zajęciem?

— A bo proszę pana takie ładne, aż patrzeć miło.

— Bo też i dosyć drogie, odpowiedział pan.

— Zkąd oni sprowadzają te zabawki? spytał się ciekawie Janek.

— Z zagranicy, odpowiedział pan, z Czech, z Niemiec i innych krajów.

Janek przypatrując się lepiej zabawkom, zrzekł z zadziwieniem:

— Ta to proszę pana z drzewa, tylko pomalowane.

— Tak z drzewa, odpowiedział pan.

— A czyż to brak w naszym kraju drzewa, żeby aż z innych krajów sprowadzać?

— Kiedy tu nikt nie potrafi tak zrobić, i nikt nawet nie robi, odpowiedział pan.

— Bo nie umią, mówił Janek, ale jakby umieli to pewno i u nas takie same potrafiliby zrobić, to nie wielka musi być sztuka.

— Sprobój Janku, śmiejąc się mówił pan, a będziesz wiedział, czy to sztuka.

Janek nie namyślając się rzekł:

— Ano sprobuję; i wziął parę zabawek na model.

Nazajutrz przyniósł pokazać panu kilka powyrzynanych zabawek; nie były one tak ładnie i dokładnie zrobione i nie malowane jak te kupne, ale były bardzo podobne, choć Janek strugał tylko nożem, a tamte były toczone.

Zręczność Janka zdziwiła pana, i rzekł do niego.

— Wiesz co Janku, kiedyś tak zręczny, to wyucz się tokarstwa i rób takie zabawki, a dobrze ci się będzie działo,

bo trzeba ci wiedzieć, że prawie każda rodzina, kilka razy do roku różne kupuje zabawki dla swych dzieci, a gdybyś się nauczył tokarstwa i Pan Bóg poszczęścił, to i inni poszliby w ślad za tobą, i zamiast wysiadywać w karczmie i trwonić mienie, byliby zajęci pożyteczną pracą, którąby zyski niosła dla nich i dla kraju, bo ten pieniądz, co dziś wysełają za granicę, płynąłby dla naszego ludu.

Lecz Janek był głuchy na te rady, i nie chciał porzucać służby i wioski; była w tem także przyczyna.

W sąsiedztwie dworu, u gospodarza Tomasza Rybaka, była młoda dziewczyna Tereska, sierota, którą się Tomasz opiekował; ona podobała się Jankowi bardzo, bo była schludna i pracowita i Janek podobał się takżeTeresce.

Po niejakim czasie oboje się pokochali, i Janek chciał się dowiedzieć od Tomasza czyby wydał za niego swoją wychowankę; ale Tomasz oburzył się na niego, i powiedział mu że nie wyda Tereski za takiego hołysza. Ludzie naśmiewali się z Janka i dokuczali mu kpinkami, co go bardzo gniewało. Niemogąc tego znosić dłużej, podziękował panu za służbę i puścił się dalej w świat.

Było to w zimie i jakoś nigdzie nie mógł znaleźć służby; udał się więc do miasta, ale i w mieście nadarmo szukał zatrudnienia. Zrozpaczony i zgłodzony wychodząc z miasta, ujrzał na wystawie sklepowej fajki i różne rzeczy toczone, dorozumiał się że tu mieszka tokarz, przyszła mu więc na myśl rada pana z Dąbrowy, i nie namyślając się długo, udał się do niego z zapytaniem czyby go nie przyjął do siebie na naukę. Tokarz z początku go nie chciał, ale na prośby jego z wielką niechęcią dał się namówić i ubłagać, że go przyjął, z warunkiem, że mu będzie robił przez cały rok za darmo, poczem dopiero może będzie mu płacił, jeżeli będzie zręczny. Na co Janek przystał i przez ten czas uczył się i pojmował prędko wszystko co tylko mu ukazano, tak że do roku przewyższał w zręczności swego nauczyciela, bo miał już wrodzony spryt do tego, chęć i zapał. Uskładał sobie także trochę pieniędzy, bo w wol-

nych godzinach robił na swoją rękę różne zabawki i sprzedawał je w mieście.

Po skończonym roku nauki pokupił sobie sprzęty potrzebne do tokarstwa, i w małym kąciku wziął się szczerze do pracy. Toczył różne rzeczy, jak zabawki dziecinne: lalki, żołnierze, kręgle, strugał koniki i inne drobiazgi, jak również i inne sprzęty pożyteczne, nie tylko do zabawy służące; szło mu to z łatwością bo był zręcznym, i na wzory kupował sobie różnorakie ładne rzeczy. Gdy już narobił dosyć takich drobiazgów, jeździł na jarmarki, sprzedawał i wchodził w układy z kupcami, którym zostawiał na sprzedaż swoje wyroby. Kupowali też wszyscy z chęcią, bo każdy woli dać swemu zarobić, niż gdzieś z daleka sprowadzać.

Pieniędzy mu też sporo przybywało i we dwa lata był już majętnym człowiekiem. Chciał więc już gdzie osiąć stale i ożenić się. O Teresce wciąż pamiętał i chciał się dowiedzieć czy też nie poszła jeszcze zamąż, poszedł więc do Dąbrowy, myśląc że teraz, kiedy ma pieniądze i chleb w ręku, to Tomasz nie będzie stawiał oporu.

Jakoż Tomasz nie sprzeciwiał się teraz i wkrótce odbyło się skromne wesele Janka z Tereską.

Z początku mieszkali na komornem. Janek pracował nieustannie i jeździł sprzedawać swoje wyroby. Za uskładane pieniądze zaczął budować chatę, w której urządził sobie warstat w osobnej izbie. Gdy już była skończoną, poprosił księdza by odprawił mszę na podziękowanie Bogu i uproszenie błogosławieństwa.

Odtąd z podwojonym zapałem wziął się do dalszej pracy, przyjął sobie do pomocy kilku ciekawych parobczaków, których wyuczył tokarstwa, i sporo mu szła robota, którą z łatwością spieniężał, bo kupcy z miast prosili go, by czem prędzej przywoził swoje wyroby, i pieniądze naprzód mu dawali.

Dobrze mu się więc działo i w kilku latach dorobił się znacznego majątku, tak że dziś nie tylko domostwo jego wygląda ładnie jak mały dworek, ale i najbogatszym jest gospodarzem na całą okolicę.

Pomimo że tak Jankowi się szczęściło, utęsknił za krewnymi, znajomymi, za górami i lasami, za swą rodzinną wioską, i chciał się tam przenieść. Gdy się o tem dowiedzieli gospodarze w Dąbrowie, przyszli do niego z prośbą i naleganiem by tego nie robił, mówiąc, że tak zacnego i godnego sasiada, który staraniem swojem prowadzi wszystkich do lepszego bytu i oświaty, nie puszczą od siebie. Janka to ujęło bardzo i postanowił tylko odwiedzić brata.

Puścił się więc w drogę, w góry. Lecz jakaż była jego boleść i cierpienie, gdy ujrzał zniszczone gospodarstwo brata, grunt jego zaniedbany i wystawiony na sprzedaż, a Grzegorza posługaczem żydowskim. Bratowej już nie zastał, bo z nędzy umarła, dwaj zaś synowie Grzegorza służyli za parobków. Janek będąc bogatym, kupił grunt po bracie i zapisał go na jego synów, a sam wrócił do Dąbrowy.

Józef z Medyki.

Lud wiejski w kraju szwedzkim.

Niedaleko Danii, o której wam już pisaliśmy, jeno jeszcze dalej ku północy, leży między morzami półwysep, długim łańcuchem gór przerznięty, na którym są dwa kraje, Szwecja i Norwegia, obadwa pod jednym królem. Opowiemy wam tym razem nieco o Szwecji, a później, da Bóg doczekać, o Norwegji.

Wybrzeża Szwecji gdy się płynie na okręcie do tego kraju, smutny przedstawiają widok. Nagie skały piętrzą się w górę, tu i owdzie leżą wysepki skaliste, a nigdzie śladu zieloności; kraj pusty, nie urodzajny, wszędzie cisza głucha, gdzieniegdzie tylko widać chatę w głębokim wąwozie, opodal wiatrak. Ale gdy na brzeg wysiądziesz, a ujrzysz tu żołnierza na warcie, z ręką na szabli i przypatrzysz się jego pańskiej, dumnej postawie, zaraz sobie pomyślisz, że w tym kraju, gdzie takie tęgie i udatne chłopy rosną, nie jest zapewne tak bardzo

źle jak się zdaje. Jakoż postąpiwszy nieco dalej w głąb kraju, ujrzysz miasta zamożne z rozmaitemi fabrykami a w koło miast liczne wsie i folwarki. Na łąkach pasie się bydełko piękne i dzwoni dzwoneczkami, za bydłem idzie pasterz z wielką trąbą i wytrąbuje pieśni. Dzieci wiejskie roznoszą poziomki, wiśnie, gotowane raki, wszystko w ładnych koszyczkach z kory brzozowej, własnej roboty, i przedają gdzie mogą. Wejdziesz do której chaty, ujrzysz tam pięknie wymyte ławki, stoły i szafy, na ścianie obrazy króla i królowej pięknie namalowane, kalendarz rozwieszony; w trzech ścianach izby są okna, pod czwartą stoi piec, obwiedziony u dołu podwójnem wieńcem kwiatów suchych, co je zowią słomianemi albo nieśmiertelnikami. Podłoga posypana gałązkami sosnowemi lub liściem brzozowem, który to zwyczaj utrzymuje się w całej Szwecji. Przed domem bieli się kilka pasków szarego płótna na zielonej murawie pomiędzy owocowemi drzewami, dalej ujrzysz kilka grządek z jarzynami a w koło chodzą kury i gdaczą. Bocianów i jaskółek nie ma nigdzie, bo im tutaj za zimno.

Południowa część kraju jest dość urodzajna, ma mnóstwo jezior i rzek i zimno tam nie jest jeszcze zbyt wielkie; północna, także mnóstwem rzek i jezior poprzerzynana, bardzo lesista, coraz jest uboższa i nieurodzajniejsza im wyżej ku północy. Bogactwo Szwecji stanowią wielkie kopalnie żelaza i miedzi; ról uprawnych nie ma tam tak wiele jak u nas, ale pastwisk jest podostatkiem, a lasów jodłowych i sosnowych jeszcze więcej.

Lud wiejski trudni się nie tylko rolnictwem, ale też i rozmaitym przemysłem. Łowią więc ryby i ptaki, polują, warzą smołę, robią saletrę, a przędą i tkają w każdym domu nieustannie. Chłopi w Szwecji mają także obowiązek dostarczać koni a czasem i wozów dla wszystkich co tylko w kraju są poczt; to im przynosi piękny dochód. Co dwie mile są gospody i tam człowiek umyślny czeka we dnie i w nocy, a jak tylko kto pocztą przyjedzie, bieży zaraz do wsi i od gospodarza, na którego kolej wypada, sprowadza konie. Konie

mają małe, ale kościste, mocne i zawsze jeżdżą galopem. Woźnica trzyma w ręku batóg biały laskowy z krótkim sznurkiem, na końcu którego jest gruby, dobrze namaziony węzeł, i nim szkapy pogania. Drogi są wszędzie bardzo dobre, na skalistym gruncie; myt nie ma, toż tam prawie nikt nie podróżuje pieszo.

Wszystkie pola są obwiedzione płotami, żeby bydło szkody nie robiło. Płoty robią tak, że najprzód wbijają wysokie pale i do nich przybijają w poprzek łaty, a jak palę w ziemi zgniją to je zabijają głębiej. Płoty te są bardzo pożyteczne, ale brzydki sprawiają widok, bo ich tyle jest wszędzie że się człeku zdaje, jakby przez las jechał. W płotach są bramy, dla otwierania których trzeba ciągle złazić z wozu.

Przemysłem i pracowitością lud wiejski w Szwecyi dochodzi w szczęśliwszych okolicach do takiej zamożności o jakiej my wyobrażenia nie mamy. Tam nie rzadko widzieć można chłopka jak pija piwo z srebrnego kubka i nalewa je sobie z srebrnego dzbanka Domy chłopskie bywają bardzo obszerne, mają po dziesięć, dwanaście i więcej izb; gospodarz z rodziną zajmuje wszystkie, jedne w lecie, drugie w zimie. Kilka izb służą do przechowywania odzieży i tam to wisi wszystko w największym porządku, zacząwszy od sukman i kamizeli, a skończywszy na pończochach i rękawiczkach. Wszystkie izby sa bardzo schludne. Obok domu stoją stajnie końskie i spichlerze, dalej stodoły i stajnie dla bydla. Bywają też domy chłopskie na piętro zbudowane, jak kamienice w mieście a w nich ramy od okien pięknie, na biało pomalowane.

Szwedzi są bardzo wytrzymali na zimno, weseli, lubią kwiaty, muzykę i śpiewy; używają też wiele tytoniu, który albo palą w fajkach, albo gryzą. W uboższych okolicach lud jest dobroduszny, rozmowny, usłużny, w bogatszych poważniejszy. Nie chciwy zysku, grzeczny, uprzejmy, żąda też i dla siebie grzeczności i na pierwsze lepsze zawołanie nikt się z miejsca nie ruszy, jeżeli nie jest bardzo grzecznie poproszony. Są też Szwedzi bardzo roztropni i przytomni. Jednemu chłopu pokazał raz król kosztowny pierścień który miał na palcu i zapytał go:

— Jak też ty myślisz, co ten pierścień wart?

Chłopek bez namysłu odpowiedział.

— Pewnie nie tyle, Najjaśniejszy panie, co chwila deszczu w maju.

Ubierają się pięknie, mężczyźni noszą nizkie okrągłe kapelusze pilśniowe, z szerokiemi kresami i czerwonemi kutasami, na kamizelę wdziewają krótkie sukmany, z białej lub granatowej flaneli, dalej spodnie ozdobione wielkiemi guzami i niebieskie pończochy, związane pod kolanem czerwoną tasiemką; w zimie chodzą w kożuchach. Przy robocie tak mężczyźni jak białogłowy noszą długie skurzane fartuchy. Kobiety i dziewczęta noszą kolorowe czapki na głowach, czerwone gorsety i fałdziste wełniane spodnice, takież zapaski, na nogach czerwone pończochy i trzewiki na korkach z czerwonemi kokardami. Miewają też osobliwe pierścionki ślubne; są one srebrne, pozłacane, pod spodem wązkie, a z wierzchu na palcu bardzo szerokie, i tu wisi dziewięć maleńkich wolno ruszających się kółeczek, jak kurczęta koło kwoki.

Półno'ne okolice Szwecyi są mało zaludnione. Ledwie gdzie niegdzie można tam spotkać wśród lasu nie wielką osadę. Osady te coraz bardziej się rozszerzają, bo lud wycina po trochu i karczuje albo wypala lasy, i zamienia je na orne pola. Ci osadnicy są bardzo biedni; głównem ich pożywieniem są ryby, zwierzyna i chleb, a ten chleb nie zawsze mogą piec z mąki żytnej, tylko z kory brzozowej robią mąkę i z niej pieką chleb, który nie jest bardzo smaczny, ale z masłem da się zjeść. W jednem miejscu odkryto także w górach taką ziemię, z której można chleb piec. Biedak jeden ścinał raz drzewo w lesie; drzewo upadając odsłoniło mech i ukazała się biała ziemia jak mąka. Chłop zmięszał tę ziemię z żytną mąką i upiekł chleb, który był dość smaczny. Odtąd zewsząd schodzą się ludzie, i każdy nabiera tej ziemi ile chce i pieką z niej chleb, co jednak lekarze odradzają, bo taki chleb leży długo w żołądku i jest niestrawny. Zresztą ci osadnicy, pozbawieni wszelkiej ludzkiej pomocy, żyją czem mogą, rybami, zwierzyną, przytem hodują krowy, kozy, a gdzie tylko znajdzie się kawałek żyznej ziemi, sieją po garści zboża.

Szwedzi są bardzo pobożni. W północnych okolicach wsie są nieraz dwanaście i pietnaście mil oddalone od kościoła, tak że trzeba w piątek wyjść z domu, aby być w niedziele w kościele, a przecie nie zaniedbują nigdy służby Bożej. To też na ich pochwałę powiedzieć trzeba, że sę jedynym na świecie narodem, w którym nawet u najbiedniejszego ludu wiejskiego nauczyciele wiejscy, coby tylko czytać i pisać uczyli, są całkiem niepotrzebni, bo tam lud wiejski bardzo jest oświecony i nawet najbiedniejsi rodzice sami swoje dzieci nauczają z wielką pilnością, i pomimo największego ubóstwa, pomimo ciągłych trosków o kawałek chleba, znajdują dość czasu, aby dzieci swoje wyuczać co sami umią. Dziecko jeszcze nie wymawia dobrze, a już umie pacierz i odmawia pobożnie rano i wieczór, w piątym roku życia umie czytać z każdej książki szwedzkiej, w szóstym umie na pamięć cały katechizm, w siódmym pisze nie źle. A jeżeli które chłopskie dziecko ma otwartą głowę i ksiądz uzna że wartoby go posłać do miasta do szkoły, to natychmiast wszyscy sąsiedzi składają się, i takiemu wybranemu dziecku, żeby się miało o czem uczyć, dają po trzysta, a jak dorośnie i po sześcset talarów na rok, póki szkół nie skończy. Szkoły zaś są w tym kraju bardzo dobre.

Bardzo uroczyście obchodzą w Szwecji dzień św. Jana i Boże Narodzenie. W oba te święta najprzód zdobią pięknie domy z wierzchu i wewnątrz zielonemi gałązkami i podłogę posypują świeżą sośniną.

Na św. Jan stawiają gdziekolwiek na przestronnem miejscu wysokie drzewo z kory obdarte, łaty w poprzek do niego po sam wierzchołek przybijają i na tych łatach wieszają wieńce, chorągiewki, ptaki drewniane, różne figury; potem w koło tego drzewa zapalają ogień, tańczą i śpiewają. Zabawki zaś dzieciom rozdają. W wilią Bożego Narodzenia jedzą sutą wieczerzę, przy której weselą się, gawędzą i kolędują do późna, a potem idą na pasterską mszę, przyświecając sobie pochodniami i smolnem łuczywem.

Jeszcze dalej ku północy za tą kraina którąśmy opisali, mieszkają Lapończykowie, lud bardzo małego wzrostu, nie mający stałych siedlisk, lecz przenoszący się ciągle ze swemi trzodami z miejsca na miejsce. Te ich trzody nie składają się z krów, ani kóz ale z zwierząt podobnych do jelenia które się zowią renifery; o tych Lapończykach i ich trzodach kiedyś indziej wam opowiemy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.